

Smart Tempting Entirely Mine

Ludka Skrzydlewska
Magdalena Szponar



THE STEM



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Ilustracja okładkowa: Karolina Maluty

Projekt okładki: Justyna Knapik

Rysunki we wnętrzu książki wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: editio.pl (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/theste

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

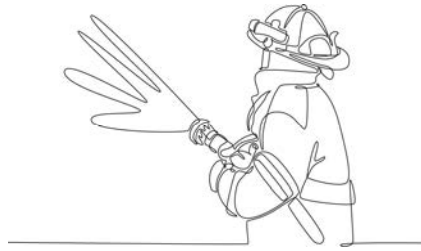
ISBN: 978-83-289-3793-2

Copyright © Helion S.A. 2026

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Rozdział 1.

Cassidy

Ten dzień nie mógłby być gorszy.

Z samego rana musiałem się użerać z buntującą się siedmiolatką, która uznała, że pierwsze promienie wiosennego słońca wystarczą, by pójść do szkoły w krótkich spodenkach, nawet jeśli na zewnątrz były ledwie pięćdziesiąt trzy stopnie Fahrenheita.

Potem moje auto postanowiło zaprotestować, bo oczywiście zbyt długo zwlekam z naprawą, i musiałem pożyczyć różową Mazdę mamy.

R ó ż o w ą .

Przez to wszystko nie zdążyłem wstąpić do Sandwich Works Cafe i kupić bagietek dla całej zmiany, o kawie dla siebie nawet nie wspominam. Droga z Browncroft Boulevard do remizy przy North Chestnut Street nie zajęła mi – tak jak zwykle – piętnastu minut, tylko cholerne dwadzieścia pięć, bo musiałem jeszcze zatankować Mazdę.

A odkąd przekroczyłem próg garażu, nie usiadłem na tyłku – do tyłu zdarzeń byliśmy wzywani.

I kiedy teraz wszyscy liczymy, że po prostu zjemy coś ciepłego, znów słyszymy dzwonki, a potem głos dyspozytora rozlegający się z głośników:

– Siedemnaście, jedenaście, HAZMAT, kolizja z możliwym wyciekiem substancji chemicznych. North Road, skrzyżowanie z Pine Grove, West Henrietta. Pojazd uderzył w drzewo, kierowca krwawi,

ale nie pozwala się opatrzyć świadkom. Podejrzany wyciek z bagażnika, dzikie zwierzę w pobliżu.

Spoglądamy po sobie: Maria klnie pod nosem, TJ przeciera twarz, a Samir... Samir jest już w drodze do wozu, bo to kompletny świr.

Wstaję i ruszam za nim, wiedząc, że obsada głównego wozu gaśniczego pójdzie w moje ślady. Zbiegamy do garażu, spotykając się na schodach z ekipą Heavy Rescue. Kiedy docieram do naszej fury, kątem oka zauważam, że Haze zamyka już drzwi Spartana HAZMAT-u.

Zgłoszenie jest... nietypowe.

Wypadek. Wyciek. Ranny kierowca. Dzikie zwierzę.

To brzmi jak najgorsze pieprzone bingo dla każdego strażaka.

Chwilę później siedzę już na miejscu dowódcy i zerkam na TJ-a, który kiwa do mnie głową.

– Siedemnastka gotowa. Wyjazd za minutę – zgłaszam się w radiu, a potem wydaję polecenia moim ludziom.

W zasadzie nawet nie musiałbym tego robić – każdy wie, co do niego należy – ale to powtarzanie rozkazów i systematyzowanie działań daje nam poczucie bezpieczeństwa, dlatego jest takie ważne.

Nie trwa to długo, a słyszę już, że wóz ratowniczy jedenaście i jednostka chemiczna jeden są gotowe do akcji.

Wyjeżdżamy jeden za drugim, z moją ekipą na czele.

Dotarcie na miejsce nie powinno nam zająć dużo czasu. Nie czuję zdenerwowania; za to jestem głodny, rozdrażniony i... zły.

Zdecydowanie jestem zły.

Kocham służbę w straży pożarnej. Skłamałbym, gdybym powiedział, że to dla mnie zwykła praca. I nawet jeśli niektóre dni dają w kość jak ten, to nie zamieniłbym tego na nic innego.

Trudno, najwyżej odchamię się jutro w ogrodzie, myślę.

Kiedy trafiamy na miejsce, najpierw słyszę rozbawionego TJ-a:

– Tego się nie spodziewałem...

A potem marszczę brwi na widok przed nami.

Doprecyzuję: na widok rozbitej czerwonej Hondy Civic, płynu wyciekającego z bagażnika i... dziewczyny, a dokładniej tyłka dziewczyny klęczącej przy samochodzie i zaglądującej pod podwozie.

– Co jest? – prycha Maria.

Ja jedynie kręcę głową, gdy dostrzegam pozostałe szczegóły: gapiów nagrywających całe zdarzenie i jakiegoś typu skaczącego wokół tej laski. Kiedy wysiadam, słyszę jego spanikowany głos:

– Umrzesz, rozumiesz?! – piszczy. – Krwawisz i się wykrwawisz, a ja będę musiał na to patrzeć!

Świetnie.

Uwielbiam królów dramatu.

– Proszę się odsunąć – warczę, ale za późno, bo chłopak mający na oko jakieś szesnaście lat i totalne zero mózgu w głowie łapie tę laskę za kostkę i próbuje ją odsunąć od auta.

Potem wszystko dzieje się dość szybko.

Dziewczyna szarpie nogą i... oczywiście, że trafia dzieciaka prosto w twarz. Ten zaczyna wyć, podczas gdy krew leje się strumieniami z jego nosa, a sprawczyni zamieszania... wsuwa się cała pod Hondę.

Przysięgam, że słyszę, jak klnie niczym pierwszorzędnym szewc.

– Ria – zwracam się do Marii Torres, mojej zastępczyni – zabezpiecz drogę, odciągnij gapiów, oceń sytuację. – Kiedy ta kiwa głową i bierze się do roboty, proszę Samira, by uciszył dzieciaka, a następnie dodaje: – Zajmij się poszkodowaną, gdy tylko Ria zabezpieczy miejsce.

Jednocześnie zastanawiam się, jak mam wyciągnąć tę dziewczynę spod wozu.

Wozu, z którego nadal coś, kurwa, wycieka.

Gdy tylko ta myśl pojawia się w mojej głowie, obok mnie materializuje się Haze.

– Jesteśmy gotowi – mówi, ubrany już w mundur ochronny; brakuje mu jedynie maski, którą jednak od razu zakłada.

Odpowiadam mu skinieniem głowy. Haze podchodzi więc do Hondy, by spróbować ocenić, co to za cholerny płyn, a ja decyduję się sprawdzić, czy dziewczyna pod autem przypadkiem nie umarła.

Nie powiem, trochę by mi to ułatwiło działania.

Obchodzę samochód i klękam, a potem nachyliam się do samej ziemi.

– Proszę pani – zaczynam, ale głos grzęźnie mi w gardle, kiedy tylko napotykam najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałem. – Jordan, co ty tutaj, do cholery, robisz?

– Oczywiście, że to musiałeś być ty – mówi ostro, a ja aż wzdycham ze zdziwienia i błędę spojrzeniem po jej twarzy.

Nie wydaje się poważnie ranna, co oczywiście może być złudne. Dostrzegam jedynie pęknięty łuk brwiowy, z którego nadal sączy się krew, ale dobrze wiem, że taki uraz może iść w parze ze wstrząśnieniem mózgu.

– Wyłaż stamtąd – rozkazuję.

A ona zaciska wargi i... prychnie niczym rozwścieczona kotka.

– Nie.

No chyba sobie, kurwa...

– Jordan Lane, natychmiast wyłaż spod tego auta – powtarzam stanowczo, na co ona jedynie mruży powieki. – I co, na litość boską, miałas w tym bagażniku?

Dopiero to pytanie sprawia, że przez jej twarz przemyka cień strachu.

A do mnie wracają wszystkie wspomnienia, kiedy Lane bawiła się za dzieciaka w małego chemika i o mało nie spaliła swojego domu... jakieś piętnaście razy.

Domu mieszczącego się zaraz obok mojego, dodajmy.

– Kurwa – szepcze i próbuje... wejść dalej?

– Miau! – Słyszę nagle i zanim mrugnę, coś wyskakuje spod auta.

W ostatniej chwili udaje mi się unieść rękę, a sekundę później mały kot uczepia się z sykiem mojej rękawicy i wgrzyza w nią niczym opętany.

I właśnie wtedy przypominam sobie o dzikim zwierzęciu ze zgłoszenia.

Zrywam się, próbując strząsnąć to paskudztwo z ręki, ale wszystko na nic. Kociak, ewidentnie młody i pełen energii, nie daje za wygraną. W końcu przyciskam go do tułowia tak, jak to robię zawsze, kiedy ratujemy takie maluchy z drzew. Na szczęście rękawica mnie chroni, natomiast ograniczenie ruchów temu diabłu może mu wyjść tylko na dobre.

Wolną ręką sięgam po radio i proszę dyspozytora o pomoc weterynaryjną. Zanim zdążę skończyć zdanie, tuż obok mnie pojawia się Jordan.

– Uratowałeś go! – piszczy zachwycona i gdyby nie to, jak błada jest i jak bardzo drży, pomyślałbym, że nic jej nie dolega.

Wokół panuje pieprzony chaos, a ja potrafię się skupić jedynie na jej niebieskich oczach, zadartym nosie, drobnych, ledwo widocznych piegach i potarganych jasnych włosach. Gdyby nie jej charakter, uznałbym ją za olśniewającą, ale...

Znam ją.

Jordan Lane to pieprzone utrapienie.

W dodatku przez pół życia wzdychała do mojego brata, Camerona, co chyba tylko ja zauważałem. Modliłem się jednak, by nic z tego nie wyszło, bo dziewczyna z takim temperamentem mogłaby zmienić życie Cama w piekło.

A on... cóż, i tak nie skończył najlepiej, bo związał się z Parker Coldman, ale to już zupełnie inna historia.

Porzucam radio, kiedy zauważam, że Jordie przeciera twarz, a potem koncentruje spojrzenie na pobrudzonej krwią dłoni.

I błędnie jeszcze bardziej.

– Co wiozłaś w bagażniku? – pytam, odwracając jej uwagę.

Przeklęty kocur się uspokoił – choć nadal jest wczepiony w moją rękawicę – więc mam możliwość złapać Jordan, zanim się przewróci.

– C-co? – dyszy, przez co zaczynam podejrzewać, że zaraz straci przytomność.

– Samir! – wołam ratownika, ale ten szarpie się z chłopakiem, który ewidentnie nie chce go puścić. Panikarz krzyczy, że teraz to on niechybnie umrze.

Kurwa.

Ta akcja to pieprzona porażka, myślę, patrząc tam, gdzie Lane, czyli na Haze'a, który dokonuje oględzin kałuży za autem i zdaje relację dyspozytorowi:

– Płyn bezbarwny, szybko wsiąka. Wezwij jednostkę recyklingową. – Wstaje i otwiera bagażnik Hondy, a następnie skupia wzrok

na czymś, co znajduje się w jego wnętrzu. – Znamy źródło wycieku. Substancja to...

– Dimetylosulfotlenek – mamrocze Jordie.

– ...DMSO – kończy Haze.

– Co to jest, Lane, i po cholere ci to? – warczę, mając przed oczami tamten dzień, kiedy wynosiłem ją z jej domu, podtrętą jakimiś oparami. Była cholerną nastolatką i przysięgam, że to ona najbardziej przyczyniła się do tego, że zostałem strażakiem.

Jordan mruga i spogląda na mnie jak na idiotę.

– Do... – Przetyka ślinę. – Do krioprezerwacji. – Unoszę brew, co od razu zauważa. – Przechowywania komórek i tkanek w niskich temperaturach. Zmniejsza ryzyko wytworzenia się kryształków lodu, które mogłyby...

– To w ogóle legalne? – pryham, ale kompletnie mnie ignoruje, patrząc gdzieś w przestrzeń błędnym wzrokiem.

– ...uszkodzić materiał biologiczny. Potrzebuję go... – mamrocze, starając się utrzymać otwarte powieki – do badań... – Wtula się w mój tors, co sprawia, że marszczę brwi. – Sama do tego dojdę, Cass – szepcze. – Niech te szowinistyczne stemowskie świny się pierdola.

Parskam cichym śmiechem, bo takie słowa w ustach ledwie przytomnej dziewczyny brzmią komicznie. Nawet jeśli znam ją na tyle, by wiedzieć, że nie są niczym nadzwyczajnym.

Wtedy Jordie traci równowagę, więc niewiele myśląc, ignoruję obecność kota, który z sykiem mnie puszcza i gdzieś spieprza, i biorę ją na rękę.

Jak jakieś sto razy wcześniej, kiedy musiałem ją ratować... przed nią samą.

– Nic z tego nie rozumiem, *kotku*, ale pozwól, że ci pomogę – mówię, ruszając w kierunku biednego Samira, któremu udało się uwolnić od tamtego natręta.

– A zbudujesz mi laboratorium? – Zerka na mnie błagalnie, aż dochodzę do wniosku, że musiała się jednak porządnie uderzyć w głowę. Poza tym naprawdę nie nadążam za jej tokiem rozumowania.

Postanawiam jednak to ciągnąć, bo dzięki temu przynajmniej pozostaje przytomna.

– Gdzie, Jordan? – pytam.

– No jak to gdzie? – Znów to spojrzenie, przez które czuję się najgłępszym człowiekiem na ziemi. – W domu.

Zamieram w pół kroku.

– Jakim domu? – wyduszam.

– Moim, Cass – mruczy, przymykając powieki. – Wracam do domu.

Szlag.

To zdecydowanie jest kiepski dzień, decyduję, przekazując Jordan Samirowi i ekipie ratowników medycznych, którzy zdążyli się już pojawić.

I kiedy zabierają ją do szpitala, zastanawiam się tylko, jak nie dopuścić, żeby Jordan Hope Lane wysadziła w powietrze *c a ł e m o j e* *ż y c i e*.



Rozdział 2.

Jordan

Ten dzień nie mógł skończyć się gorzej.

W zasadzie jestem pewna, że całe moje życie nie mogło potoczyć się gorzej.

Miałam właśnie zaczynać drugi rok studiów doktoranckich z chemii na Harvardzie. Osiągnęłam coś, czego nie udało się osiągnąć wielu kobietom – trafiłam pod skrzydła profesora Pereza i brałam czynny udział w jego badaniach.

I wszystko straciłam, bo odważyłam się zadać jedno pytanie: „Skąd wiemy, że dziesięcioprocentowy roztwór DMSO jest tak samo bezpieczny dla wszystkich komórek?”.

Ta, wyryło mi się w pamięci.

A najgorsze jest to, że zmarnowałam całe wakacje na batalię z komisją dyscyplinarną i walkę o swoje dobre imię.

Bezskutecznie.

Krzywię się i przekręcam głowę w stronę okna mojej szpitalnej sali. Zaraz tego żałuję, bo czuję gwałtowne uderzenie bólu pod czaszką. Nieźle przydzwoniłam w kierownicę, kiedy ten słodki kotolik wybiegł mi na drogę.

Nie wybaczyłabym sobie, gdybym w niego uderzyła. Moje życie jest już wystarczającą porażką, nie muszę zostawać morderczynią kotów.

A do listy porażek muszę dopisać sobie to, że ratował mnie cholerny Cassidy Payne.

To mógł być dosłownie ktokolwiek. Los jednak postanowił ze mnie zadrwić i w chwili, kiedy musiałam wrócić z podkulonym ogonem do rodzinnego Rochester, na mojej drodze pojawił się powód, dla którego tak rozpaczliwie chciałam stąd wyjechać.

Cass.

Mój pieprzony sąsiad.

Facet, do którego potajemnie wdychałam, odkąd w ogóle zaczęłam wdychać do chłopaków.

Moja pierwsza nastoletnia miłość.

Beznadziejne, nieodwzajemnione zauroczenie.

Człowiek, którego obserwowałam zza płotu oddzielającego posesję naszych rodziców.

Aż się wzdrygam.

Nie wiem, jak wytrzymam w Rochester dzień, a co dopiero...

Nie mam gdzie się podziać. Taka jest prawda.

Moja najlepsza przyjaciółka mieszka ze swoim narzeczonym – choć nadal nie potrafię pojąć, jak udaje im się nie pozabijać, tak bardzo się od siebie różnią. Nie stać mnie też na wynajem czegoś swojego, bo... tak naprawdę nie stać mnie na nic. Pozostał mi tylko dom rodzinny.

I moja matka, której ulubionym zajęciem jest układanie mi życia, myślę, zamykając oczy.

– Jordan! – O, ledwie pojawiła się w mojej głowie, a już słyszę jej głos, jakby właśnie tutaj weszła. Co jest niemożliwe, bo mama nie wie, że wró... – Jordan, na litość boską!

Mrugam i odwracam głowę w stronę drzwi.

– Aua... – syczę, gdy znów czuję ból. Odnoszę wrażenie, że mój mózg zmienił się w przegrzane skupisko neuronów.

Nic jednak nie może się równać z widokiem przede mną. Żadna niedogodność.

– Mamo? – jęczę cicho, widząc doktor Dianę Lane, moją matkę, stojącą w progu sali.

Nie ma już nic wspólnego ze środowiskiem akademickim, bo na pewnym etapie życia podjęła decyzję, że zrezygnuje z kariery naukowej, ale do dziś jej nazwisko wzbudza respekt. Wśród wszystkich. We mnie też.

– Mamo?! – prycha, biorąc się pod boki. – Teraz jestem mamą, a nie zasłużyłam na to, by dowiedzieć się o wypadku córki od niej samej?

Uciekam wzrokiem, jakbym znów miała piętnaście lat i została przyłapana na wymykaniu się z domu. Moja matka potrafi być przerażająca...

Jest piękną kobietą przed pięćdziesiątką, o surowych i regularnych rysach twarzy, chłodnych niebieskich oczach, które po niej odziedziczyłam, i uśmiechu potrafiącym odegnać najcięższe burzowe chmury.

I chyba trochę liczę, że tak też stanie się teraz, bo kiedy mina mamy łagodnieje, a ona sama podchodzi do mnie, cmoknąwszy z żalem, czuję, że jednak chciałam wrócić do domu.

– Och, Jordie – wzdycha, przysiadając obok mnie i bierze mnie w objęcia. – Co się stało?

– Miałam wypadek – dukam, wtulając się w jej mięciutki sweter, który pachnie gorącą czekoladą i miłymi wspomnieniami.

– To wiem – prycha, a kiedy się odsuwam i zerkam na nią ze zmarszczonymi brwiami, dodaje: – Od Avery – wymienia imię swojej najlepszej przyjaciółki. – A ona wie od Octavii.

Czyli matki Cassa.

Super.

Ledwie wróciłam, a stałam się obiektem zainteresowania trzech największych plotkarek w Rochester.

– Ratowałam kotka – mamroczę i układam się znów na poduszce, gdy czuję zawroty głowy. – I wychodzi na to, że doznałam lekkiego wstrząśnienia mózgu. Ale wypuszczają mnie jeszcze dziś...

Nie dodaję, że zrobią to na moje wyraźne życzenie.

– To także wiem – odpowiada mama, a jej policzki nieznacznie różowieją. – Od Daniela – tłumaczy ciszej.

Daniel, dyrektor oddziału ratunkowego Strong Memorial Hospital i... chłopak mojej mamy? Chyba mogę tak to nazwać, choć zawsze sprawia to, że coś we mnie się skręca. Daniel jest niewiele starszy ode mnie, bo raptem osiem lat, i chyba właśnie dlatego matka wciąż stara się ukrywać ten związek.

Na szczęście przede mną nie da się niczego ukryć i właśnie dlatego wymusiłam na Danielu, że nie powie nikomu o moim wypisie na własne żądanie.

Nie jestem głupia. Dobrze wiedziałam, że mama prędzej czy później dowie się o wypadku.

– Co robisz w Rochester? – docieka dziwnie spokojnie, ale patrzy na mnie uważnie, jakby chciała mnie przeświecić.

No tak.

O tym jednym mama nie może wiedzieć, bo powiedziałam prawdę jedynie Parker. A Parker nikomu by tego nie zdradziła.

Czuję, że moje policzki robią się czerwone.

Nie potrafię tak łatwo przyznać się do porażki, nigdy nie potrafiłam. W dodatku nie ze świadomością, że rozpoczynając karierę akademicką, w zasadzie spełniałam marzenie mamy – wierzyła, że jeśli pójdę w jej ślady, to znajdę dalej od niej.

I to nie tak, że mnie zmuszała.

Nie.

Sama nigdy nie marzyłam o niczym innym. Harvard był moim snem.

Dopóki nie zrozumiałam, że doktorantce pierwszego roku nie wypada zadawać pytań, które mogą w jakikolwiek sposób podważać wyniki wieloletnich badań prowadzonych przez jej promotora – pytań, które uderzają w skomercjalizowane patenty uczelni.

Kręcę głową, nie czując już nawet bólu. Po prostu chcę wyrzucić te wszystkie wspomnienia z głowy. Zapomnieć. I lizać rany w samotności.

Albo w objęciach mamy. Też dobrze.

Nabieram głęboko powietrza, wdzięczna tej cudownej kobiecie, że daje mi czas na zebranie myśli.

– Wyrzucili mnie – przyznaję cicho, na co oczy mamy się rozszerzają. – Ale! – zaznaczam szybko. – Nie chcę o tym mówić, dobrze? Nie teraz. Później. Za jakiś czas.

Widzę, że jej się to nie podoba. Diana Lane jest naukowczynią. Chce odpowiedzi, a jeśli nie może ich dostać, drażni tak długo, aż je otrzyma.

Ma pecha, bo trafiła jej się równie uparta córka.

– Mamo, serio – mówię, patrząc na nią nieustępliwie.

– Okej – wzdycha, unosząc ręce. – Ale to muszę powiedzieć: jeśli cię wyrzucili, to ich strata, kochanie. – Jej wiara we mnie jest wzruszająca. Mama nigdy, przenigdy o nic mnie nie oskarżyła. A to... naprawdę wiele dla mnie znaczy. – I jestem tutaj, gdybyś chciała pogadać. – Uśmiecha się i łapie mnie za dłoń.

– Pogadamy w domu. – Ściskam jej rękę. – Może przy lampce wina rozwiąże mi się język.

Unosi brew i to wystarczy, bym wiedziała, że dałam się nabrać, bo...

– Oczywiście, skarbie – odpowiada dziwnie zadowolona. – O lampce wina porozmawiamy za kilka dni, a w domu... cóż, kiedy wypisze cię lekarz, a nie ty sama.

Mrużę oczy.

– Daniel... – warczę.

Dałam się nabrać, bo zapomniałam, że Diana Lane jest zawsze o krok przed wszystkimi.

– Daniel jest moim facetem i to przede wszystkim mnie należy się jego lojalność – wchodzi mi w słowo. – A ty jesteś moją córką, więc masz się słuchać.

– Ale wiesz, że już od jakiegoś czasu jestem pełnoletnia? – pryham.

– A ty wiesz, że nic mnie to nie obchodzi, skoro mieszkasz pod moim dachem i to ja cię żywuję?

Swoją szczerością zbija mnie z pantafyku.

Ma rację. Oto córka marnotrawna wraca na łono matki po wielkim kataklizmie.

– Grzeczna dziewczynka. – Mama klepie mnie w dłoń i posyła mi protekcyjnalny uśmiezek. – Wróć do domu i przygotuję ci pokój –

ciągnie, wstając. Obserwuję, jak z trybu opiekuńczej lwicy przechodzi w tryb zadaniowy, i uśmiecham się pod nosem. – A ty, kochanie – sięga do torebki i wyciąga z niej małą, żółtą karteczkę – musisz komuś podziękować.

Po raz kolejny marszczę brwi, podczas gdy ona wciska mi... czyjś numer telefonu.

– Niby komu? – Zerkam na nią skonsternowana.

– Twojemu bohaterowi. – Wyszczersza się, a ja baranieję jeszcze bardziej. – Cassidy’emu, oczywiście – wyjaśnia, przewracając oczami.

– On nie...

– Złapał cię, gdy zemdłałaś – podkreśla.

– Wca...

– I zaniósł do karetki, Jordie – przerywa mi, wyliczając dalej.

– Ale...

– A w dodatku zadbał, żeby jego przyjaciel ściągnął to, co zostało z Hondy, z ulicy i zawiózł... cóż, na złom.

– Na złom?! – wybucham i znowu czuję gwałtowny ból głowy.

– Szkoda całkowita. – W oczach mamy pojawia się niepokój. – Wywaliło poduszkę powietrzną, skarbie – dodaje ciszej i dopiero teraz rozumiem, jak bardzo musiała się zmartwić.

Robi mi się głupio.

I przykro.

Nigdy nie lubiłam sprawiać ludziom kłopotu, a już na pewno nie mojej mamie.

– Więc podziękuj mu, dobrze? – dodaje jeszcze i tym razem w jej spojrzeniu błyska jakaś nowa emocja, której nie potrafię rozpoznać.

– Tak, jak cię wychowałam.

Ledwie powstrzymuję się od przewrócenia oczami. Moja mama jest nieustępliwa i choć wiem, że muszę nauczyć się jej przeciwstawiać, skoro znów razem zamieszkamy, to teraz jej odpuszczam.

Najadła się strachu.

Niech ma.

– Dobrze, mamie – burczę, nie kryjąc niezadowolenia.

Żegnamy się, a kiedy już zostaję sama, przez dobry kwadrans tylko gapię się w kartkę z wypisanym ciągiem cyfr.

Nastoletnia ja posikałaby się ze szczęścia. Posiadanie numeru Cassa było kiedyś marzeniem wypowydany przy zdmuchiowaniu świeczek na urodzinowym torcie.

Teraz...

Teraz kompletnie nie wiem, jak powinnam zareagować.

Wiem za to, że mieszkanie tuż obok Payne'a będzie... trudne. Choć nie rozumiem do końca dlaczego.

Odrzuca mnie sama ta myśl, jeśli mam być szczerą.

W końcu wzdygam i sięgam po swoją komórkę, którą pielęgniarka zostawiła mi na szafce wraz z torebką. Kiedy zapytałam ją o moje baniaki z DMSO, spojrzała na mnie dziwnie i po prostu sobie poszła.

Wpisuję numer Cassa i zastanawiam się przez chwilę nad nazwą kontaktu. Gdy w końcu podejmuję decyzję, piszę wiadomość, zanim zabraknie mi odwagi.

✉ **Ja:** *Hej, z tej strony Lane. Dziękuję za dzisiejszą pomoc.*

Gapię się przez chwilę na ekran. Uznaję, że zachowałam chłodny dystans i mama do niczego nie będzie się mogła przyczepić. Wysyłam.

I zaraz nachodzą mnie wątpliwości.

A co, jeśli Cass pomyśli, że mu się narzucam? Że... jestem jakimś strażackim króliczkiem?

Jezu.

✉ **Ja:** *Mama kazała mi to napisać.*

Jęcę, ale już jest za późno. Wysłałam.

To na pewno nie zabrzmiało dobrze! Do cholery, napisałam to tak, jakbym nadal miała piętnaście lat i musiała słuchać mamy!

✉ **Ja:** *Co nie oznacza, że nie jestem wdzięczna. Jestem. Chociaż w zasadzie wykonywałeś swoje obowiązki.*

Krzywię się i odrzucam telefon na pościel. Zaraz jednak po niego sięgam, bo przychodzi mi do głowy coś ważniejszego niż wszystko inne.

✉ **Ja:** *Wiesz może, co się stało z moim DMSO?*

Odpowiedź przychodzi po najdłuższym kwadransie w moim życiu.

✉ **Nie Mój Bohater:** *Hej, Jordie. Nie ma za co. Nawet jeśli wypełniałem obowiązki, to ratowałem cię z przyjemnością. I nie, nie wiem, co z Twoim DMSO. Mam jednak nadzieję, że nie zobaczę żadnego baniaka w Twoim domu. Który sąsiaduje z moim domem.*

Po paru sekundach, nim zdążę dojść do siebie, przychodzi kolejny SMS.

✉ **Nie Mój Bohater:** *Trzymaj się z dala od kłopotów, mała katastrofo.*

Mała katastrofo.

Czy to możliwe, że w moim sercu jednocześnie rozlały się tęsknota i żal?

Bo właśnie to czuję, kiedy Cassidy Payne nazywa mnie tak, jak robił to przez całe moje życie.



Rozdział 3.

Jordan

Kiedy budzę się rano i uzmysławiam sobie, że nadal tkwię w szpitalnym łóżku, uznaję, że muszę zmienić swoje życie.

Rozpaczam od ucieczki ze szpitala.

Poprzedniego dnia mama zostawiła mi trochę ubrań na zmianę; wygrzebała je z mojej starej szafy, w której zostawiłam to, czego już nie nosiłam w czasie wyjazdu na studia. A że w szkole średniej przechodziłam fazę buntu i stylizowałam na małą gotkę, nic dziwnego, że są to czarne dzwony i równie czarna bluzka z dużym dekoltem i długimi, rozszerzanymi rękawami.

Wyglądam w nich, jakbym urwała się z balu przebierańców.

Najpierw zerkam na korytarz, ale tam ciągle kręcą się pielęgniarki, więc postanawiam zmienić taktykę. Mój pokój znajduje się na parterze, a okno w nim otwiera się na oścież, z czego bez wahania korzystam. Wyskakuję na zewnątrz, na wąski trawnik oddzielający budynek od parkingu, na którym stoi obecnie sporo samochodów i kilka osób. Jedna czy dwie z nich patrzą na mnie jak na uciekinierkę ze szpitala, a ja staram się udawać, że wcale nią nie jestem, kiedy ruszam jak gdyby nigdy nic w stronę ulicy.

Mam przy sobie jedynie telefon; mogłabym wezwać taksówkę, ale jest ładny, słoneczny, jesienny dzień, a droga stąd do remizy przy North Chestnut Street będzie przyjemnym spacerkiem. W jego trakcie na

pewno przestanie mnie boleć głowa, bo świeże powietrze dobrze mi robi.

Na pewno lepiej niż leżenie w szpitalnym łóżku.

Zerkam w ekran komórki i próbuję zagłuszyć wyrzuty sumienia, bo kiedy mama dowie się od swojego chłopaka, że prysnęłam ze szpitala, będzie zła i zacznie się martwić. Tego pierwszego trochę się obawiam, ale na myśl o tym drugim czuję się jak najgorszy człowiek na świecie. W każdej innej sytuacji poczekalabym na wypis, ale dzisiaj...

Muszę sprawdzić, co się stało z moim DMSO.

Muszę się również dowiedzieć, gdzie są rzeczy z mojego samochodu. Miałam tam nie tylko ubrania, które nie wyglądają, jakbym nadal słuchała Evanescence, lecz także wszystkie notatki i zapis badań, których będę potrzebować, gdy uda mi się wznowić prace nad DMSO. Na samą myśl, że mogły zostać zutylizowane, robi mi się niedobrze, i to nie od wstrząśnienia mózgu.

Przynajmniej mam nadzieję, że nie od tego.

Jestem mniej więcej w połowie drogi, kiedy rozdzwania się mój telefon. Niemal dostaję zawału, bo w pierwszej chwili sądzę, że to moja mama, ale oddycham z ulgą, gdy na wyświetlaczu widzę zdjęcie Parker.

– No cześć! – drze się moja przyjaciółka, gdy tylko odbieram. – Wróciłaś do Rochester i nic mi nie powiedziałaś?! Co, do diabła, plażo?!

– *Fuck* – mamrocze, po czym biorę się w garść i dodaje: – No powiedziałabym ci, gdyby kotek nie przebiegł mi tuż przed maską, gdybym nie wylądowała w rowie i szpitalu, a moje DMSO nie zaginęło!

Przez chwilę w słuchawce panuje cisza. Potem Parker odpowiada złowroźnie spokojnym tonem:

– Jesteś w szpitalu?

Ups.

– Podwójne *fuck* – mamrocze znowu. – Słuchaj, nic mi nie jest. Właściwie to już wyszłam.

– Wypisałaś się czy uciekałaś? – docieka moja przyjaciółka, która niestety zna mnie jak zły szeląg.

Krzywię się i zatrzymuję zaledwie przecznicę od remizy. Nadal jest mi trochę niedobrze i tracę siły szybciej, niż powinnam, choć być może to bardziej wina miesiący ślęczenia przy biurku i tyczenia w laboratorium niż wczorajszego wypadku. Serio, przecież nic takiego mi się nie stało. Każdy normalny lekarz, niebędący zakochanym w mojej matce idiotą, wypuściłby mnie do domu już wczoraj.

– Możesz nie czepiać się szczegółów? – pytam, na co Parker z jakiegoś powodu zaczyna się śmiać. – Sorry, że nie napisałam do ciebie ze szpitalnego łóżka, że wróciłam! Niezupełnie na taki powrót do Rochester liczyłam!

Właściwie to nie liczyłam na żaden. Powrót do rodzinnego miasteczka nie był nawet moim planem awaryjnym.

Problem w tym, że nie miałam planu awaryjnego. Były tylko studia doktoranckie i nic więcej. A kiedy to się zjechało...

Cóż, tak naprawdę nie miałam żadnych innych opcji.

– Dobra, już, nie wrzeszcz – mruczy Parker. – Spotkajmy się na drinka. Albo dwa. No, może trzy. Wszystko mi opowiesz, bo chyba nie jestem na bieżąco. Myślałam, że jeszcze próbujesz walczyć z tymi debilami z Harvardu.

Na Harvardzie pracują najmądrzejsi ludzie, jakich w życiu poznałam – przynajmniej jeśli chodzi o ich zakres wiedzy. Nie zamierzam jednak kłócić się z Parker, bo wiem, że po prostu chce okazać solidarność. Co jest bardzo miłe.

– Będę próbowała na odległość, bo kasa mi się skończyła – wyznaję niechętnie. – A teraz muszę kończyć, bo mam coś do załatwienia.

– Uciekasz przed panami w białych kitlach?

– Ha, ha, ha – śmieję się sarkastycznie, po czym rozłączam bez pożegnania.

To i tak nie ma znaczenia. Jak znam życie, najprędzej jutro zobaczę się z Parker na drinkach.

Cieszę się, że mam moją jedyną przyjaciółkę tak blisko. Natłok nauki nigdy nie pozwalał mi na zawieranie i utrzymywanie zbyt wielu znajomości, ale z Parker złapałyśmy się nawzajem pazurami i nie mamy zamiaru puszczać. Było mi bardzo źle, kiedy wyjechałam na

Harvard i zostawiłam ją samą z Cameronem, nawet jeśli wyszło jej to potem na dobre. Na szczęście oboje sprowadzili się do Rochester, więc znowu mam ją przy sobie.

Yay.

Przebiegam przez ulicę, wkurzając tym tylko jednego kierowcę, który na mnie trąbi, i ruszam w stronę remizy. Przy stojącym w otwartym garażu wozie strażackim stoi dwóch młodych facetów, którzy rozmawiają ze sobą i się śmieją, i nagle z jakiegoś powodu odczuwam onieśmielenie. Obaj są wysocy i dobrze zbudowani; jeden z nich ma ciemną skórę, kędzierzawe włosy i olśniewający uśmiech, a drugi, ciemnowłosy i z nosem, który w przeszłości musiał być złamany, obrzuca mnie uważnym spojrzeniem, gdy się zbliżam.

– Cześć. – Uśmiecham się niepewnie, stając przed nimi. – Jestem Jordie.

– Samir. – Ten pierwszy pochyla się, by podać mi rękę. – Teraz nam powiesz, że lubisz strażaków?

Co? Czy on myśli, że jestem jakimś strażackim króliczkiem? Fui!

Czym prędzej wyrывam rękę, na co drugi z facetów zaczyna się śmiać. Potem mruży oczy, przyglądając mi się uważnie.

– Zaraz, ja cię chyba znam...

– Miałam wczoraj wypadek, a ktoś z tej remizy pojawił się na miejscu, żeby mi pomóc – wyjaśniam pospiesznie. – Chciałam się tylko dowiedzieć, czy wiecie, co stało się z rzeczami z mojego samochodu.

Uśmiech Samira zastępuje mina pełna rozczarowania, ale jakoś wcale nie jest mi go żal. Ciekawe, jak często im się zdarza, że kobiety rzucają się na nich tylko dlatego, że są strażakami i wyglądają seksownie w tych swoich wdziankach?

– Ach, chodzi ci o Hondę – mówi cierpko ten, który mi się nie przedstawił. – Wszystko poszło do utylizacji. A auto na złom, skarbie.

Lepiej, żeby nie nazywał mnie dalej skarbem, jeśli nie chce ponownie mieć złamanego nosa.

– Och. – Robię stropioną minę. – Na pewno wszystko? Miałam tam walizkę i laptop...

Obaj kręcą głowami i robią miny, które uświadamiają mi, że niczego więcej się od nich nie dowiem. Właściwie mnie to nie dziwi. Niby dlaczego mieliby się zajmować rzeczami ofiary wypadku, do którego zostali wezwani? To nie miałoby sensu.

Tylko że ja p o t r z e b u j ę tych rzeczy. Ostatecznie przeżyłabym przyciasną czarną garderobę, z której Parker byłaby dumna, ale laptop jest dla mnie bezcenny. To nie tylko moje narzędzie pracy, lecz też jedyne miejsce przechowywania wyników moich badań. Jeśli chcę z nimi cokolwiek robić dalej – a oczywiście, że chcę – muszę go odzyskać.

Niemożliwe, żeby poszedł do kasacji razem z autem.

– Chłopaki, czy nie macie nic lepszego do roboty niż... – Słyszę znajomy głos, na dźwięk którego sztywnięję. Następnie pada nieco głośniejsze: – Jordie?! Co ty tutaj, do diabła, robisz?!

Odwracam się, by spojrzeć prosto w przystojną twarz Cassidy'ego, na której zdumienie miesza się ze złością. Serce podchodzi mi do gardła, a na policzki momentalnie występuje rumieniec. Z trudem panuję nad wyrazem twarzy.

Lata temu pielęgnowałam drobne zauroczenie tym mężczyzną. A przez „drobne” mam na myśli, że kochałam się w nim bez pamięci. Cass albo nigdy tego nie zauważył, albo – co bardziej prawdopodobne – udawał, że nie zauważa, bo ze względu na naszą różnicę wieku tak było mniej niezręcznie. Teraz, kiedy widzę go po latach, chciałabym zachowywać się przy nim nonszalancko, ale przeszkadza mi w tym kilka rzeczy.

Po pierwsze zbyt świeże w mojej pamięci jest to, że zachowywałam się jak idiotka, gdy byłam nastolatką.

Po drugie przypominam sobie, że wczoraj też zachowałam się jak idiotka, próbując wpelznąć pod resztki mojego auta, by wydobyć stamtąd kota, a Cass pewnie pomyślał, że coś jest ze mną nie tak.

A po trzecie...

On nadal jest przystojny.

Właściwie to jest jeszcze przystojniejszy niż za młodu. Wtedy był po prostu ładnym chłopakiem. Teraz zmężniał i nieco się postarzał,

ale w najlepszy możliwy sposób. W jego ciemnych włosach dostrzegam pierwsze szpakowate pasma i ten widok z jakiegoś powodu kłuje mnie w serce.

W dodatku coś w jego poważnych orzechowych oczach powoduje, że znowu czuję się przy nim jak gówniara, chociaż już dawno nie jestem nastolatką. Ten facet od dawna ma ułożone życie. Ma pracę, którą kocha i w której pomaga ludziom, wspaniałą córeczkę i dom, którym potrafi się zająć. A ja?

Jestem spłukana, bez pracy i domu, a poza tym właśnie skasowałam samochód. Prawdziwa ofiara losu.

– Halo, ziemia do Jordie! – krzyczy Cass, czym wyrywa mnie z zamyślenia. Dopiero teraz się zorientowałam, że do mnie podszedł. – Wszystko z tobą w porządku? Zdaje się, że nie powinni byli wypuszczać cię ze szpitala.

– Kto mówi, że mnie wypuścili? – wyrywa mi się.

Cass podejrzliwie mruży oczy, a ja robię niewinną minę i uśmiecham się do niego. Sądząc po tym, jak zaciska szczęki, nie dał się zwieść.

Chwyta mnie za ramię, po czym zaczyna mnie prowadzić. Wydaje z siebie pełen oburzenia okrzyk i ku mojemu zdumieniu reaguje też Samir, który rusza za nami.

– Hej, Cass, co ty...

– Znam ją – mamrocze Cass, ciągnąc mnie ku zaparkowanej przy remizie... różowej Mazdzie. RÓŻOWEJ. – To moja sąsiadka. Zabieram ją do domu.

– Ale dopiero się poznawaliśmy!

Cass rzuca miazdzące spojrzenie najpierw Samirowi, który unosi rękę w geście kapitulacji i cofa się o krok, a potem mnie, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Mrugam niewinnie i próbuję mu się wyrwać, ale ma za mocny uścisk. Wystarczająco łagodny, żeby mnie nie posiniaczyć, ale na tyle zdecydowany, że nie ma mowy, żebym się uwolniła.

Cassidy otwiera przede mną drzwi pasażera i patrzy na mnie tak, że nie mam innego wyjścia, jak tylko wsiąść do środka. Zatrząskuje

za mną drzwi nieco mocniej, niż powinien, a ja obserwuję go, gdy obchodzi przednią maskę auta, by zasiąść za kierownicą.

Jezu. Ile bym dała, żeby te ramiona zacisnęły się wokół mnie...

Stop!, strofuję się natychmiast w myślach. Już raz przeżyłam odrzucenie ze strony Cassa i na pewno nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Ustaliłam już, że zauroczenie nim było wyłącznie głupim szczeniackim uczuciem, które wygasło, kiedy tylko przestałam go widywać. Nie pozwolę, żeby znowu przejęło nade mną kontrolę.

Nie jestem już głupią małodumą, która lata za starszym od siebie facetem mającym ją gdzieś.

– Co tu robisz? – pyta ostro Cass, gdy tylko wsiada do samochodu.

Wspominałam już, że jeździ RÓŻOWĄ Mazdą? I jest przy tym tak nonszalancki, jakby kolor nie miał absolutnie żadnego znaczenia. Zgaduję, że kiedy wygląda się tak jak on i ma się tyle testosteronu co on, męskości dosłownie nic nie zagraża. Nawet róż.

Ruszamy spod remizy, a ja zmuszam się, by wreszcie rozplątać zawiązany na supeł język.

– Przyszłam zapytać o moje DMSO – odpowiadam. – I o resztę moich rzeczy...

– Ja zgarnąłem resztę twoich rzeczy – przerywa mi obcesowo. – Zawiozłem je do twojej mamy. Czy naprawdę pierwszym, co musisz zrobić po powrocie do miasta, jest flirtowanie ze strażakami?

W zdumieniu rozchyłam usta. Flirtowanie?!

– Z nikim nie flirtowałam – protestuję ostro. – I daj mi spokój. Głowa mi pęka.

– Prawdopodobnie dlatego, że powinnaś wciąż być w szpitalu – strofuje mnie. – Naprawdę z niego uciekłaś?

Krzywię się.

– Lekarz zatrzymał mnie na noc na obserwacji tylko dlatego, że to chłopak mojej mamy i mu kazała. Nienawidzę małych miasteczek.

W żadnym dużym mieście na pewno nie trafiłabym w szpitalu akurat na chłopaka mojej mamy. W dużym mieście byłabym anonimowa i nikt nie patrzyłby na mnie tak, jak w tej chwili robi to Cass: jak na chodzącą katastrofę.

– Więc dlaczego tu wróciłaś, co? – mruczy, a kiedy nie odpowiadam, skupia się na drodze.

Milczymy przez resztę trasy, chociaż czuję się z tym dziwnie niekomfortowo. Kiedy jednak Cass zatrzymuje Mazdę przed domem mojej mamy, waham się, zanim wysiądę.

– Dziękuję – mamrocze. – Za uratowanie moich rzeczy i za podwózkę.

Cass wzrusza ramionami.

– To nic takiego, Jordie.

– Dla mnie to sporo. Na laptopie mam ważne wyniki moich badań, a skoro DMSO przepadło, nie będę mogła ich powtórzyć. Musi mi wystarczyć to, co mam.

On jedynie robi sceptyczną minę.

– Czyli żadnego laboratorium w garażu twojej mamy?

Niechętnie kiwam głową.

– Żadnego laboratorium w garażu mojej mamy – potwierdzam, po czym dodaję pospiesznie: – Przynajmniej na razie.

Cass krzywi się, co każe mi podejrzewać, że myśl o tym laboratorium w ogóle mu się nie podoba. To tylko potwierdza, jak bardzo mi nie ufa. Wiem, że mój wypadek samochodowy prawdopodobnie dowodzi, że słusznie, ale to i tak z jakiegoś powodu odrobinę mnie boli.

No dobrze, może nawet więcej niż odrobinę.

Poza tym chciałabym mieć własne laboratorium. Choćby niewielkie. Prawdopodobnie to się nigdy nie stanie, ale nikt nie zabroni dziewczynie marzyć, prawda?

W następnej chwili drzwi wejściowe domu się otwierają i w progu staje moja mama, a mnie paraliżuje strach. Jej mina nie wróży niczego dobrego, natomiast dłoń zaciśnięta na komórce sugeruje, że z kimś przed chwilą rozmawiała – i chyba nawet wiem z kim.

Mam przekichane.

Cass przechyla się w moją stronę i wyciąga rękę, żeby otworzyć mi drzwi, a potem wraca na swoje siedzenie i posyła mi szeroki uśmiech.

Przez cały ten czas wstrzymuję oddech, żeby przypadkiem nie zachłusnąć się jego zapachem.

– Powodzenia – mówi, właściwie wyganiając mnie z auta.

Ledwie wysiadam z Mazdy i zamykam za sobą drzwi, Cass już odjeżdża z piskiem opon.

Zostawiając mnie sam na sam z moją wyraźnie wkurzoną matką.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

*Gdy dziewczyna marząca o karierze naukowej
ponownie spotyka swojego crusha z nastoletnich lat...
katastrofa jest gwarantowana!*

Jordan Hope Lane to prawdziwy magnes na kłopoty. Gdziekolwiek się pojawia, sieje zamęt – zwłaszcza kiedy w grę wchodzi wyniki badań, które nie podobają się szowinistycznym naukowcom z Harvardu.

Wyrzucona z uczelni za zbyt dużą dociekliwość, jest zmuszona wrócić do Rochester. I wszystko byłoby dobrze, gdyby już pierwszego dnia, chcąc ratować uroczego kociaka, nie spowodowała wypadku. Na pomoc przybywa Cassidy Payne – jej nastoletnia miłość, samotny ojciec i... sąsiad. To dzięki niej Cass wybrał zawód strażaka, a teraz jedynie utwierdza się w przekonaniu, że dziewczyna mieszkająca z drugiej strony płotu to mała katastrofa.

Jego mała katastrofa.

Jeden złośliwy kociak Cation, parę upartych swatek, kilka potajemnych schadzek, liczne tarapaty i złoty deszcz spadających liści – oto historia, która nie pozwoli Wam o sobie zapomnieć podczas długich jesiennych wieczorów.

Patroni medialni:



© CUTE
© SENSUAL
© SPICY
© DARK



ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-3793-2



cenę 54,90 zł